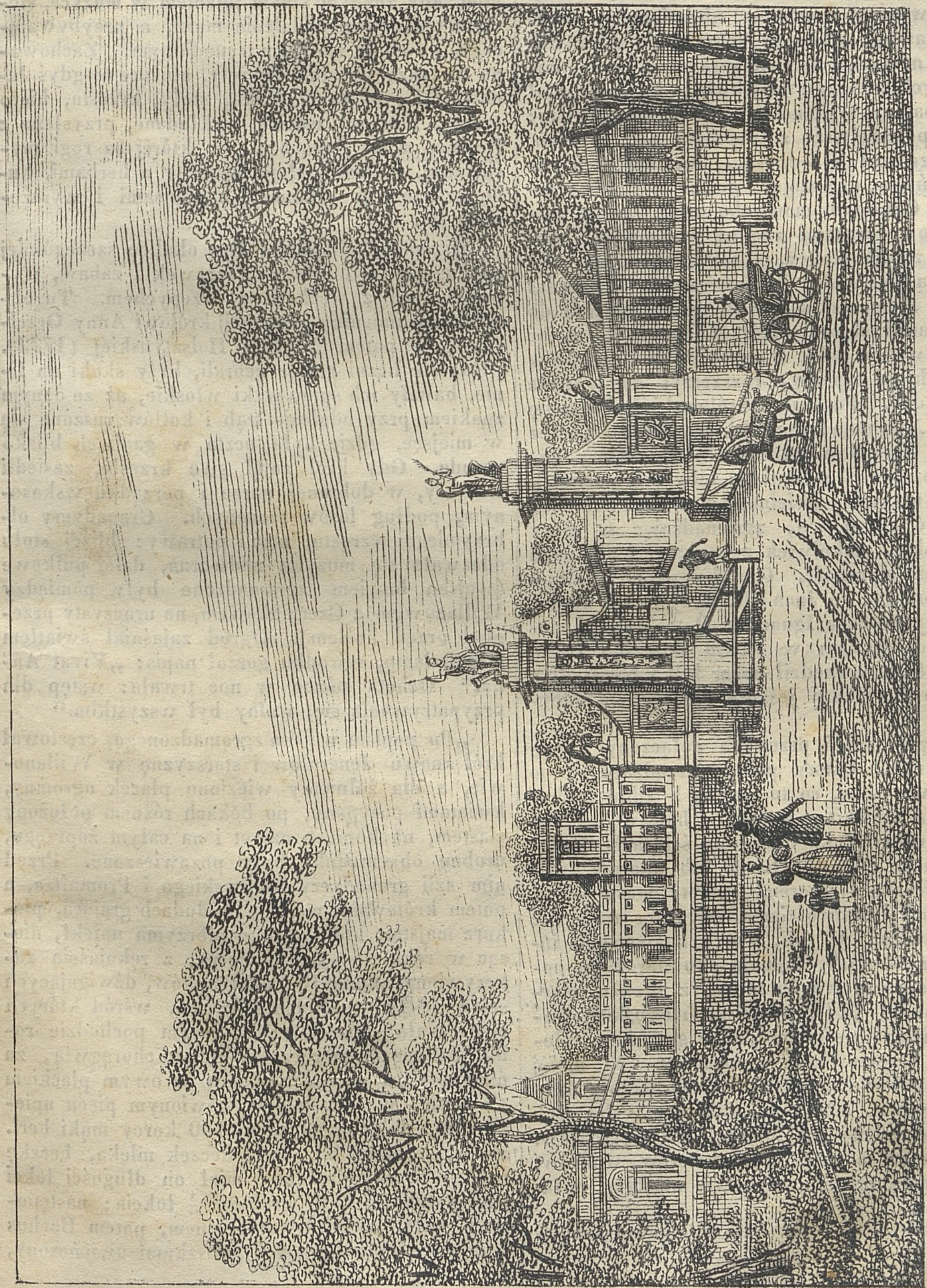
Przyjaciel Ludu.

Rok drugi. **No. 11.** **Leszno, dnia 12. Września 1835.**



Willanów.

„Oto wspaniałe pięknych gmachów szczyty,
„Gdzie niegdyś rycerz sławny, znamienity,
„Co męztwem swojém narody zdumiewał,
„Wielki Jan trzeci pod laury spoczywał.
„Tam laty, pracą, troskami znużony,
„Słodził w zaciszu niesmaki korony:
„Tam pokój znalazł wśród chwili niezięcznych,
„Tam świat pożegnał, i ziomków niewdzięcznych."

Temi wyrazy wspomina nieśmiertelny Krasicki Willanów, ulubione schronienie Jana Sobieskiego, miejsce, policzone sprawiedliwie do najpiękniejszych mieszkań wiejskich w Europie. Stał niegdyś pałac Willanowski nad samą Wisłą: król Jan powróciwszy z wyprawy pod Wiedeń, przeniósł go nad jéj odnogę, i wzniósł ręką zabranych jeńców, dziś stojący gmach w guście włoskim. *) Często tu monarcha przebywał z ulubionymi towarzyszami znojów wojennych, porzuciwszy zgiełk stolicy, i tutaj także, w roku 1696 życia dokonał. Królewicz Jakób przedał Willanów Sieniawskim, a od tych przeszedł do Xiążąt Czartoryskich. Król August II. mając sobie dożywotnie pałac z ogrodem od dziedziców ówczesnych odstąpiony, rozszerzył go i wiele przydał ozdób. Po śmierci królewskiéj, dostał się Willanów Xiążętom Lubomirskim, a od tych, przez małżonkę, Stanisławowi Potockiemu, który żadnych nieszczędził wydatków, aby tyle pamiątek w dawnéj utrzymać świetności; owszem zbiór ich powiększyć starał się, zgromadzając w mury Willanowskie, cokolwiek z naukami i pięknemi kunsztami ma styczność. Ogród wspaniały z drzewami, które już za Jana III. były stare, zdobią pomniki wystawione Ignacemu Potockiemu i poległym wojownikom w bitwie pod Raszynem. W roku 1824, uszkodził pożar kilka pokoi, lecz te wkrótce z większą jeszcze okazałością odbudowano.

Wszędzie widać przepych połączony z gustem i sztuką. Cztery pokoje urządzone są po chińsku: wszystko, co tu widać, z Chin pochodzi: obicia aksamitne ponsowe, haftowane, lub jedwabne różnych kolorów; po ścianach zawieszone obrazy, rysunki, lustra lub latarnie kolorowe oświecają wieczorem, sprzęty stósowne, z wielu innemi osobliwościami, zwracają na siebie widzów uwagę. W sali, białą nazwanéj, i innych wielu pokojach, zajmują oko starożytne posągi, popiersia sławnych ludzi, z bronzu, marmuru i granitu, 124 prawdziwych etruskich wazonów, i naśladające je naczynia z greckiego, włoskiego lub krzeszowickiego marmuru. Nie mniéj zastanawia galerya obrazów, złożona już to z dzieł pędzla sławnych mistrzów, już to z wybornych kopii, gdzie indziéj znajdujących się oryginałów. Obok portretów monarchów, bohaterów, wodzów, godne zajmują miejsce, mężowie naukami wsławieni: Krasicki, Piramowicz, Kopczyński, Naruszewicz, Staszic, Niemcewicz z wielu innymi. W jednéj z obszernych komnat, stoi fortepian, ozdobiony na wierzchniéj desce malaturą wystawującą Parnas: dar to żony Leopolda Cesarza, posłany małżonce króla Jana III., wraz z pochlebnym własnoręcznym listem, dotąd w Archiwum Willanowskiém zachowanym, w którym wyraża, jako posełając jéj ten insrument, pragnie, aby znanym swym talentem w muzyce, słodziła tęsknotę z oddalenia męża, a przybywającego, powitała marszem tryumfalnym. Zachowano tu także wszelkie sprzęty, służące niegdyś Janowi III.; to samo łóżko, stoły, krzesła, bióro czarne, perłową macicą wykładane, przysłane z Rzymu, szafę hebanową, w któréj są rogi myśliwskie, szklanki, słoje, kielichy z herbami, kufle szklanne i gliniane, z napisami i wyrażeniem lat.

Brzmiał Willanów i jego okolice szczególniéj za Augusta II. odgłosem rozrywek i zabaw, wyprawianych z wschodnim przepychem. Tu obchodzono imieniny ulubionéj królowi Anny Orzelskiéj, a potem Xiężnéj Holsztyńskiéj (1732). „Gdy się liczni goście zebrali, były skoki na linie, bawiły ich śpiewaczki włoskie, aż za danym znakiem przy odgłosie trąb i kotłów ruszono się w miejsce, gdzie była uczta w gankach blisko ogrodu. Gdy król zajął swe krzesło, zasiedli wszyscy, w dobranéj parze i porządku wskazanym, podług losów rzuconych. Granadyery olbrzymiego wzrostu, nosili potrawy: bliżéj stołu odezwała się muzyka nadworna, daléj pułkowe (wojska bowiem zgromadzone były pomiędzy Willanowem a Czerniakowem, na uroczysty przegląd przed królem). Ogród zajaśniał światłem 20000 lamp, wśrodku gorzał napis: „Vivat Anna." Ochota późno w noc trwała: wstęp dla przypatrywania się, wolny był wszystkim."

„Po popisie wojska zgromadzonego, częstował król znowu Jenerałów i starszyznę w Willanowie, a dla żołnierzy wieziono placek ogromny, kwiatami posypany, po bokach różnem obłożony ciastem, na koniach nawet i na całym zaprzęgu, drobne obwarzanki były pozawieszane. Przed nim szli granadyery Rutowskiego i Promnitza, a potem królewska muzyka na dudach grająca, piekarz majster, który owego olbrzyma upiekł, niosąc w ręku nóż trzyłokciowy, z rękojeścią zakrzywioną, za nim 16 piekarczyków, dźwigających stósy ciast upieczonych sztucznie, wśród których powiewała chorągiew; w całym pochodzie robili dziwaczne obroty, wywijali chorągwią, za nimi dopiero wóz ośmiokonny z owym plackiem sławnym, w umyślnie wystawionym piecu upieczonym, do którego użyto 150 korcy mąki berl. miary, jaj kóp 80, dwie beczek mleka, beczkę masła; beczkę drożdży: miał on długości łokci 14, szerokości ł. 6, grubości $\frac{3}{4}$ łokcia; następowały wozy z mięsiwem różnem, potem Bachus winogrodowym liściem i gruszkami uwieńczony,

*) Świadczy samo nazwisko villa nuova (pomieszkanie wiejskie.)

trzymał puhar wielki złocisty, przy nim 8 murzynów, a za nimi wozy z trunkami. Orszak ten, zatrzymał się przed królem, a na znak dany, wystąpił główny piekarz, wszedł po drabinie z pomocnikami na wóz, zakroił w samym środku placka kawał, a podzieliwszy go na części, ofiarował monarsze i znakomitszym osobom, i znaleziono ciasto smacznem i wypieczoném. Bachus równie stanąwszy przed królem, pił za jego zdrowie. Gdy się oddalił orszak w téj paradzie, pozwolono wojsku używać przygotowanych pokarmów i napojów.“

Podróż na Wschodzie.

(Koniec)

Naśmiawszy się do woli z grzeczności nieznajoméj piękności, oddaliliśmy się, i kazaliśmy się przewieść do Skutary, dla oglądania tamże klasztoru Rufai, zakonu Derwiszów. Klasztor ten, sławny z kuglarstwa i niemoralności mnichów, która i na wschodzie czuć się daje. Ich nabożeństwo zaczyna się od zwyczajnéj modlitwy, z tą tylko różnicą, że każdy modlący się zamiast kobierca, ma baranią skórę rozpostartą pod sobą na któréj klęczy i siedzi. Odmówiwszy przepisane pacierze, które każdy Turek pięć razy na dzień powtarza, siadają w koło i odmawiają Fatiha, to jest: pierwszy rozdział koranu, dodając: Cześć naszemu prorokowi, jego rodzinie i wszystkim towarzyszom, równie jak Abrahamowi, jego rodzinie i towarzyszom. Formuły te wolno, jednym tonem powtarzają. Poczem wstają i zaczynają wolno wyznanie wiary: La ilah ill'allah, które zwykle na 6 syllab rozdzielają „La-i-lah-il-la-lah. Wymawiając pierwszą syllabę, nachylają się naprzód, przy drugiéj znowu się prostują, na trzecią przechylają się w tył: poruszenia te przy następujących syllabach powtarzają tym samym porządkiem: albo też odmieniają kierunek, nachylając ciało przy pierwszéj syllabie wprawo, przy drugiéj wśrodku, a przy trzeciéj na lewo. Chór ten zaczyna się z wolna i powtarza się coraz prędzéj, a zawsze ruch ciała, właśnie jak u żydów, odpowiada krzykowi. Nakoniec kiwanie to tak jest szybkie, że modlący przymuszony jest dwie syllaby na jeden ruch wymawiać, tak, że tylko słychać krzyk Il-lah. Im ruch szybszy w ¾ takcie, tym zapał większy modlących się: wszystko to nakoniec zamienia się w szalony taniec orgiski. Podczas téj okropnéj wrzawy, dwaj śpiewacy, miłym głosem śpiewali miejsca z pochwały proroka: ich śpiew łagodny i umiarkowany, brzmiał jak odgłos uroczysty dzwonów, wśród rozhukanéj burzy i bicia piorunów. Gdy przełożony tupnieniem da znak, następuje najwyższy stopień szału: wtedy to rzucają się jak opętani, a wtym pomieszanym krzyku niesłychać tylko syllaby lach, albo wykrzyk ha! Z początku samego, jest ten śpiew dość zrozumiały; lecz późniéj trudno zgadnąć, co znaczy takie jednosyllabne ryczenie, gdybyśmy nie byli świadkami jego powstania. Podczas tego kiwania się i krzyku, inni Derwisze pokazują sztuki z rozpalonem żelazem: kładą je w gębę, każą sobie rozpalonemi obcęgami ciało szarpać, trzymają w ręku rozpalone kule, bez najmniejszego śladu boleści lub rany. Podczas tych sztuk kuglarskich krzyk się wzmaga do najwyższego stopnia: niektórzy upadają, tocząc pianę na ziemię, jak gdyby w zachwyceniu, inni osłabieni mdleją: a inni krzyczą: Ja-hu (Jehowa) na co drudzy odpowiadają: fa meded (dopomóż) tym czasem pienie hymnu brzmi miło i słodko: o pocieszycielu: o kochanku! lekarzu duszy, o wybrany! o wybawicielu na dniu ostatecznym, gdzie ludzie wołać będą: o duszo moja, duszo! a ty rzekniesz: o mój lud, mój lud! — Jakkolwiek całe zgromadzenie zdaje się być szałem zajęte, przecież, wyjąwszy tylko kilku fanatyków, którzy w szaleństwie i odurzeniu bez zmysłów na ziemię padają, wszyscy inni zostają zimni i bez zapału, a cały ów szał i święte zachwycenie, wychodzi na kuglarstwo, dla zwabienia ciekawego tłumu; Jałmużny, które przytomni Europejczycy dawać zwykli, są dobrowolne; Muzułmani zaś nic nie dają.

Okolice Konstantynopola są także zachwycające: palace Cesarskie i posłów zagranicznych, tudzież domy letnie (kioski) bogatych Turków, pyszny nad brzegiem Bosforu przedstawiają widok: mieszkańcy tutejsi są wyłącznie prawie Grecy i Armeńczykowie. W drodze do Bujukdere spotyka podróżny na obszernéj łące owe 7 olbrzymich Platanów, znakomitych ogromem swoim i wiekiem. Lubo nie raz już rażone od piorunów, tak dalece, że pnie ich wewnątrz prawie już całkiem są wypalone, corok jednak rozłożyste ich konary, nowem okrywają się liściem. Gottfried Bouillon, mówią, w ich cieniu z wojskiem swojem nocował; zapewne ich wtedy było więcéj.

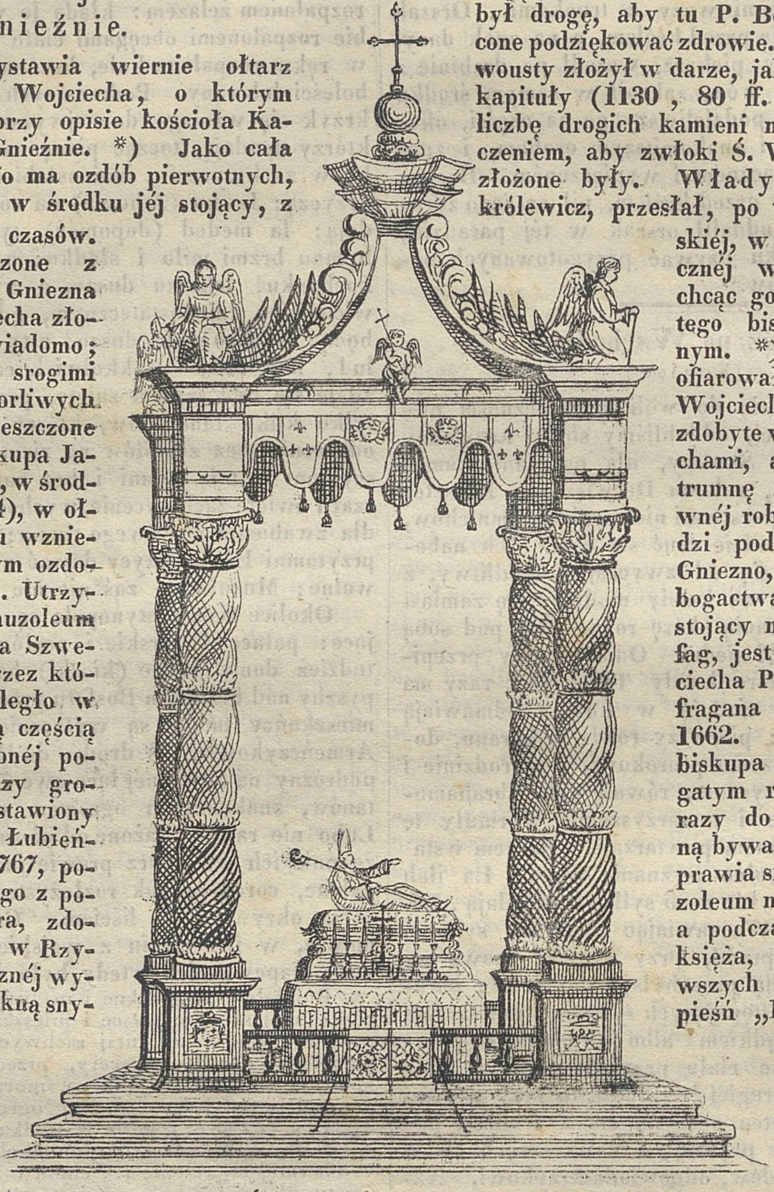
Bujukdere jest piękne i ma wiele pysznych pałaców; tutaj są także pałace i mieszkania zagranicznych posłów i konsulów, tutaj zachwycają oko nasze najpiękniejsze ogrody i spacery, przedstawiące z pagórków, rozkoszny widok na morze. Długa droga prowadzi pomiędzy samemi ogrodami do sławnéj doliny różanéj, gdzie w środku pięknego ogrodu jest basin, w który z kilku fontan chłodna woda spada. Woda tutejsza, równie jak chłód otaczających naokoło drzew platanowych, sprawiają, że Turcy bardzo to miejsce lubią. Nie daleko téj studni jest kawiarnia, w któréj kawy i tytuniu dostać można. Każdego czasu zastać tu można Turków, Armeńczyków, Europejczyków, siedzących na kobiercach, palących tytuń i w głuchem milczeniu popijających kawę lub wodę.

Mimo znaczne postępy Cywilizacyi, nadmienić tu wypada, że Turcy mają swych konnesserów na wodę, tak, jak w Europie na wino lub piwo.

W kilka dni potem trzeba było rozpuścić żagle: popłynęliśmy na morze Marmora. W téj nocy taka nas burza napadła, jakiéj nigdy jeszcze nie byłem świadkiem. Wiatr szalony rozdzierać zaczął żagle, których nie zdążyliśmy ściągnąć, 20 do 30 stop okręt nasz w górę był rzucany, błyskawica następowała po błyskawicy, jeden piorun po drugim, wśród okropnéj ulewy; a ryk grzmotów, połączony z szumem morza, okropnym łoskotem przerażał uszy: zdawało się, że się wszystkie żywioły na zgubę naszę sprzysięgły. Jednak okręt żadnéj nie poniosł szkody, co jedynie winniśmy zimnéj krwi kapitana i gorliwości majtków. W sześć dni zawinęliśmy di Napoli do Romania.

Grób Ś. Wojciecha w Gnieźnie.

Rycina wystawia wiernie ołtarz i grobowiec Ś. Wojciecha, o którym wspomnieliśmy przy opisie kościoła Katedralnego w Gnieźnie. *) Jako cała ta świątynia mało ma ozdób pierwotnych, tak też pomnik w środku jéj stojący, z nowszych jest czasów. Gdzie sprowadzone z Trzemeszna do Gniezna zwłoki Ś. Wojciecha złożone były, niewiadomo; zachowane przed srogimi Czechami przez gorliwych kapłanów, umieszczone zostały przez biskupa Jakóba III. z Sienny, w środku świątyni (1474), w ołtarzu, z marmuru wzniesionym i znacznym ozdobionym nakładem. Utrzymywało się to Mauzoleum aż do wtargnięcia Szwedów do kraju, przez których złupione, legło w gruzach z wielką częścią świątyni, strawionéj pożarem. Dzisiejszy grobowiec jest wystawiony kosztem Macieja Łubieńskiego w roku 1767, podług wzoru jednego z pomników Ś. Piotra, zdobiących Watykan w Rzymie. Cztery znacznéj wysokości filary, piękną snycerską robotą, unoszą baldachin nad ołtarzem, na którym spoczywają zwłoki Ś. Wojciecha w srebrnéj trumnie. Boki jéj, w wypukłéj rzeźbie, przypominają ważniejsze czyny biskupa; figura srebrna na wierzchu sarkofagu, wystawia świętego męża, w Arcypasterza ubiorze, z podniesioną głową i lewą ręką, jakoby powstawał głosić naukę, za którą krew przelał. Za trumną widać figurę marmurową Radzyna, czyli Gaudencyusza, brata Ś. Wojciecha.



Grób Ś. Wojciecha w Gnieźnie.

Od najdawniejszych czasów słynął grób Ś. Wojciecha w Gnieźnie; przy nim wziął Bolesław Chrobry koronę z rąk Ottona III., który ślubu uczynionego w ciężkiéj chorobie dopełniając, z Poznania do Gniezna pieszo odbył drogę, aby tu P. Bogu za przywrócone podziękować zdrowie. Bolesław Krzywousty złożył w darze, jak świadczą Akta kapituły (1130, 80 ff. złota i wielką liczbę drogich kamieni na trumnę, z życzeniem, aby zwłoki Ś. Wojciecha w niéj złożone były. Władysław IV. jako królewicz, przesłał, po wojnie moskiewskiéj, w roku 1621, znacznéj wielkości dzwon, chcąc go mieć czci świętego biskupa poświęconym. *) Zygmunt III. ofiarował, do grobu Ś. Wojciecha 54 sztandary, zdobyte w wojnie z Wołochami, a w roku 1626, trumnę srebrną, kosztownéj roboty, którą Szwedzi podczas napadu na Gniezno, z wielu innemi bogactwami uwieźli. Dziś stojący na ołtarzu sarkofag, jest darem X. Wojciecha Pilchowicza, Sufragana gnieźnień. z roku 1662. Głowa świętego biskupa w osobnym bogatym relikwiarzu, dwa razy do roku wystawioną bywa. Codziennie odprawia się przy tém Mauzoleum najświętsza ofiara, a podczas niéj śpiewają księża, z ustawy pierwszych Arcypasterzów, pieśń „Boga rodzica“ według melodyi, noszącéj cechę pierwszych Chrześciaństwa czasów w Polsce.

Ryś, czyli Ostrowidz.

Ryś dawniéj w całéj Polsce i w Niemczech obficie zamieszkały, dziś już z wielu krajów ustąpił, w innych stał się rzadkim. W leśnogórzystych stronach Niemiec, jeszcze się niekiedy zjawi, ale nie ma go już w naszéj prowincyi. W całém królestwie Polskiém nie zna go tylko jedno Województwo Augustowskie. Nieco częściéj natrafia się w Litwie, zwłaszcza we wschodniéj części kraju.

*) Zob. Przyjaciel Ludu Tom. II. Num. 45. tr. 355.

*) Dzwon ten podczas pożaru stopił się poczęści, tak, iż wraz z innemi przelanym być musiał.



Ryś, czyli Ostrowidz.

Futro Rysie ma szacunek u kuśnierzy we względzie miękkości i ciepła. Zarzucają mu tylko, że włos jest kruchy i nietrwały. Wreszcie ten tylko Ryś przynosi nam użytek. A choć nie jest tyle szkodliwym dla zwierząt domowych ile wilk, lis, tem większe wyrządza szkody pośród leśnéj zwierzyny. Wytępia Jarząbki, Cietrzewie, Zające, Sarny i nawet Jelenie, na które z wysokich drzew z nienacka się rzuca, za szyję chwyta i dusi; po czém, na sposób tygrysa, bardziéj krew wypija, niż mięsem się karmi. Nie ma więc czego żałować, że Rysie, równie, jak niedźwiedzie plemię, u nas jest wytępione, albowiem nigdy wartość ich skór nie wyrównałaby wyrządzonéj przez nich szkodzie. Załujmy raczéj, żeśmy się podobnież wilka i lisa nie pozbyli.

Ryś jest nieco mniejszy od wilka. Cały jego układ jest kota, tudzież Lamparta, do których rodzaju włącznie należy. Wszelako centki na skórze rysiéj, daleko są mniéj wydatne, jak u Lamparta, uszy dłuższe, szerść kosmatsza. Oczy jego wielkie i jaskrawe, a w nocy jak ogniem iskrzące. Kolor futra ciemno brunatny na grzbiecie, coraz świetlejszy u spodu, a na brzuchu zupełnie biały. Włazi bardzo zręcznie na drzewa, i przeskakuje z miejsca na miejsce, na siedem łokci i więcéj.

Mieszkanie swoje zakłada, to w ciemnéj gęstwinie lasu, to w jamach, bądź wykopanych przez siebie samego, bądź na innych zwierzach zdobytych. Młode rysięta wielkie mają podobieństwo do kotów, i tenże sam sposób igrania między sobą.

Nie łatwe jest polowanie na rysia. Bo gdy wszystkie zmysły, a mianowicie wzrok, słuch, i powonienie, nadzwyczajnie ma bystre i przenikliwe, trudno, aby się strzelec niepostrzeżony do niego zbliżyć potrafił. Jeśli nakoniec doszedł do tego, że rysia na cel wziąść może, musi się starać, albo go ubić od razu, albo przynajmniéj wszelkich go sił pozbawić; bo w przeciwnym razie, Ryś prosto w twarz mu skacze, a długiemi pazurami ciężkie może zadać kalectwo.

Imię Ostrowidz, nadane zostało Rysiowi w dawnych wiekach, dla tego, że mu więcéj jak nadzwyczajną, bo prawdziwie cudowną ostrość wzroku przypisywano. Było przyjęte o nim mniemanie, jakoby przez ściany i mury patrzyć był zdolny. Nie ma już potrzeby takowe zbijać twierdzenie. S. H. P.

O karze śmierci.

(Zdarzenia prawdziwe.)

W roku 1825 toczyła się w Izbach francuzkich ta ważna, dotąd nierozstrzygnięta kwestya: „czy zniesienie zupełne kary śmierci byłoby z dobrém ludzkości lub nie? Wiele głosów filantropicznych ozwało się wymownie za projektem, większość jednak, mając za sobą doświadczenie, oparte na statystycznem obrachowaniu popełnia-

nych występków przez poprawianych, już ułaskawionych zbrodniarzy, ciągle przecież ludzkości szkodzących przemogła, w brew maxymie: że człowiekowi niemoże być odebrane życie przez tych, którzy mu go niedali; że prawo powinno tylko człowieka szkodzącego ludzkości postawić w niemożności jéj szkodzenia, ale nieodbierać mu życia, którego mu wrócić niemoże, a człowiek przeciwnie każdy zdolny się poprawić, może jeszcze jéj swój dług wypłacić. — Kara śmierci była utrzymana.

Szczególnem zdarzeniem los nastręczył w tym samym czasie dwa przypadki, przychodzące w pomoc głosującym za zniesieniem kary śmierci, jako dowody, że pomimo wszelkie ostrożności, tak przewidziane prawem, jak oddane najściślejszemu rozbiorowi sędziego, zdarza się niekiedy, że kara na niewinnego pada. — W mieście jedném we Francyi, dwóch braci zakochało się w jednéj panience. Młodszy spostrzegł, że starszy wzajemności doznaje, i to go w rozpacz wprawiło. Wszelkich szukał sposobów zapomnienia kochanki, wszelkiéj przyzywał pomocy zimnego rozsądku, i religii, lecz miłość, ta najgwałtowniejsza namiętność ludzka przemogła wszystko: coraz głębiéj wpadał w szaleństwo. Był to młody człowiek, zalecający się rozsądkiem, pracowitością i nieskażoném dotąd postępowaniem. W rozpaczy, w szaleństwie, niewidział innego sposobu do wybrnienia z tego stanu, do okupienia sobie szczęścia i pokoju na resztę dni życia, jak zgładzenie ze świata szczęśliwego rywala, swego rodzonego brata. Cała natura wzdrygała się w nim, gdy miał przystępować do wykonania tego zamiaru, lecz nieznacznie oswoił się z tą okropną myślą; — każdy widok szczęśliwych kochanków, jadem zazdrości napawał jego serce, aż nareszcie dnia jednego po południu, niebędąc już panem siebie, nabił flintę i szukał brata. Brat wyszedł był za miasto, na przechadzkę, i właśnie wchodził do lasu, przyległego miastu, gdy tamten na strzał flinty go doszedł; i natychmiast zmierzył, wystrzelił i w téj saméj chwili brat trafiony kulą na brzegu lasu upadł. Brat zabił brata; lecz przynajmniéj, zabity nieznał swego zabójcy, niewidział go w chwili konania, bo znać ugodzony z tyłu padł na twarz i skończył. — Czem jest piorun, który ugodzi złego człowieka w chwili grzeszenia, tem był dla zabójcy ów wystrzał: w téj saméj chwili, gdy spostrzegł, że brat po jego strzale poległ, spadła mu z oczu zasłona, poznał dopiero całą okropność swego postępku. Jeszcze większą rozpaczą miotany rzuca w blisko bieżącą rzeczkę zabójcze narzędzie, bieży napowrót do miasta, stawa przed ową dziewczyną i sam na głos się oskarza, że z miłości do niéj zabił brata. Uwiadomiona przez przytomnych policya, oddała go do sądu kryminalnego, przed którym również sam się oskarżał, żądając koniecznie na siebie wyroku śmierci. Podług kodexu, każdemu o kryminalne przestępstwo obwinionemu, przydany bywa obrońca. Młody zaledwie z Paryża przybyły adwokat, podjął się go bronić. — Przytaczał na uniewinnienie jego stan szaleństwa, w którym się znajdował przed popełnieniem zabójstwa, żal swego postępku, oskarżenie samego siebie. — Sąd kryminalny przecież niemógł zważać, niezważał na podobne względy i rozpoznawszy dostatecznie sprawę, wydał wyrok śmierci. Przyszła natenczas myśl Adwokatowi zapytać się winowajcy: gdzie jest broń, którą brata zabił? A dowiedziawszy się, wziął świadków, poszedł na oznaczone miejsce; wyciągnięto w saméj rzeczy w tym miejscu z rzeczułki flintę, którą wezwani znajomi obwinionego, za jego własną uznali. Potém kazał wydobyć, w przytomności sądu, z ciała zabitego kulę, która, gdy ją do owéj flinty przyłożył, była o wiele większa od otworu lufy, a zatém żadnym sposobem wyjść niemogła z flinty oskarżającego się zabójcy. Cofniono wyrok, zawieszono sprawę i śledzono, jakim innym sposobem człowiek ten zabitym został. Wykazało się później, że gdy młodszy brat do starszego, wchodzącego do lasu z tyłu z pola strzelił, właśnie w téj saméj chwili, strzelił w lesie borowy do sarny, którą chybił: tak, że te dwa strzały razem wydały jeden tylko huk. Kula, która zabiła, była téj saméj wielkości, co otwór flinty borowego; rana jak z dobytego jeszcze raz ciała poznano, nie z tyłu, lecz z przodu zadana. — Obwiniający się zabójca, uspokoił swe sumienie, choć nieprzestał żałować brata; wskazany został wyrokiem na kilkoletnie więzienie, za samą chęć niepopełnionego przez siebie zabójstwa. — Po wysiedzeniu kary ślub go połączył z dawną kochanką. —

Drugie zdarzenie jeszcze okropniejsze, gdzie oskarżony winowajca zupełnie był niewinny. W Paryżu, wdowiec jeden miał jedynaczkę córkę dorosłą, którą niezmiernie kochał. Żona mu dawno umarła. Zakochał się on w swojéj służącéj i byłby ją niezawodnie poślubił, gdyby mu córka do tego przeszkodą nie była. — Ztąd nienawiść służącéj do córki swego pana. — Zachorowała córka. Ojciec troskliwy, przyzwawszy lekarza, przepisane jéj przez niego lekarstwa sam z apteki przyniósł: sam jéj w kilka chwil potém dał zażyć. W kwadrans po zażyciu, zaczęła córka konać w największych boleściach. Skonała w jego ręku. Ojciec niewiedział, jak ją ratować; boleści powykręcały jéj okropnie nogi. Stracił przytomność i w téj rozpaczy myślał że jéj pomoże prostując nogi; i gwałtem je naginając do zwykłego położenia. W téj chwili wchodzi lekarz, poznaje symptomata otrucia, pomiędzy któremi wykręcenie nóg było najgłówniejszém, i odzywa się do ojca: „WPana córka już nie żyje! Czemu jéj wykręcasz nogi? musiałeś ją otruć!“ — Ojciec krzyczy: tak jest, ja ją otrułem, ja ją otrułem!“ lecz w tém tylko rozumieniu, że jéj sam przed chwilą dał zażyć lekarstwo. Lekarz przyzywa świadków, oddaje

do sądu kryminalnego, nieszczęśliwego ojca, składa swe recepty, wzywa do tłumaczenia się aptekarza. — Na aptekarza pada kara kilkoletniego więzienia za przedanie trucizny. — Ojca wzkazują na śmierć. W chwili exekucyi, poruszona sumieniem i przywiązaniem do dawnego swego kochanka, owa służąca, przerzyna tłumy zebrane około rusztowania, wołając: „nie traćcie go! on niewinny! — Wstrzymuje się exekucya. Ona wyznaje przed sędzią, czytającym wyrok, że w chwili, gdy jéj pan, przyszedłszy z apteki, lekarstwo postawił, ona już dawno dla jego córki przygotowaną truciznę do tego lekarstwa przymięszała. — Na miejsce jego wzkazana później na śmierć. Aptekarz z więzienia uwolniony, a inny, od którego służąca truciznę dostała, na jego miejsce wzkazany. — Nieszczęśliwy ojciec uwolniony, straciwszy dwie sobie drogie istoty, sam sobie życie odebrał.

W. A. W.

Krystyna Poniatowska z Duchnik.

Często bardzo zdarza się, że, kiedy imiona mężów, którzy się ludzkości ważnym i użytecznym wynalazkiem lub w innym względzie przysłużyli, w wiecznéj niepamięci pogrążone zostały, nazwiska szarlatanów lub wielkich złoczyńców, podaje pokolenie pokoleniu z skrupulatną troskliwością. Nie wiemy już kto pług, kto zegary wynalazł. Imiona Jennera, Watta, Franklina, Tychona Brachy, nie znane są pomiędzy mniéj oświeconymi; gdy tymczasem nazwisko kuglarza Twardowskiego, Pinnetego, Kagliostra i tylu innych, brzmi w ustach każdego, i więcéj daleko znajdzie się takich, których awantury rozbojnika Kartusza bardziéj bawią, niż, żywot Wincentego a Paula, lub Fenelona, owych przyjaciół i dobroczyńców cierpiącéj ludzkości. Do owego rzędu ludzi, tak niezasłużenie w dziejach świata głośnych, należy także osobliwa w swym czasie kobieta, o któréj wiadomość krótką czytelnikom Przyjaciela ludu podać postanowiłem.

Krystyna Poniatowska z Duchnik zasłynęła w dziejach, nie z nauki, nie z czynów ni też nareszcie z urody, ale z mniemanych objawień swoich, które w 17tym wieku głowy niepospolitych nawet ludzi w Europie zaprzątały. Urodziła się roku 1610 w Morawii, z matki Zofii Pawłowskiéj, Polki, z ojca Juliana Poniatowskiego, Ministra Braci czeskich, niegdyś zakonnika katolickiego, w Małéjpolsce, co porzuciwszy szaty zakonne, a z niemi wiarę ojców, schronił się do Morawii. Szczupłe dochody Juliana Poniatowskiego, ojca kilkorga dzieci, i śmierć żony, zniewoliły go oddać Krystynę w młodym wieku w służbę do pewnéj matrony czeskiéj, Baronowéj Zarubianowéj de Zelling: ta czytywając z Krystyną pismo ś. mianowicie zaś objawienia Ś. Jana, do tego stopnia umysł jéj młodociany pomięszała, że Poniatowska w 17 roku swego życia (1627 roku) zaczęła sama objawienia miewać, i takowe przytomnym opowiadać. Rozumie się samo przez się, że mniemane objawienia jéj były w tym samym prawie kształcie, w jakim je znajdujemy w Apokalipsis. Pospólstwo okoliczne i słudzy Baronowéj Zelling uznali natychmiast w proroctwach Krystyny dar nadludzki; ale Baronowa Zelling, rozsądna matrona, poznała wnet, że objawienia te były skutkiem pomięszania zmysłów i oddała Krystynę w kuracyą biegłemu lekarzowi, Michałowi Libawiuszowi. Starania atoli jego około przywrócenia Krystynie zdrowia, były nadaremne. Tymczasem bracia czescy musieli opuścić Czechy i Morawią. Znaczna część ich udała się do Wielkiejpolski. Krystyna Poniatowska, powierzona opiece sławnego Komeniusza, przybyła dnia 8go Lutego 1628 roku do Leszna. Ponieważ zaś jéj objawienia opiewały o zburzeniu zepsutego Babilonu, (przez co religią katolicką rozumiała) o aniele z mieczem ognistym, idącym z północy zniszczyć gniazdo smocze, przez co rozumiała królów Szwedzkich, mających obalić kiedyś panowanie domu Austryackiego, i t. p. przeto niektórym z fanatyków czeskich i morawskich, a mianowicie Komeniuszowi i Fabrycyuszowi, seniorowi morawskiemu, były bardzo na rękę, do utwierdzenia wychodzców czeskich i morawskich w wytrwałości i nadziei, że kiedyś do siedlisk ojczystych w tryumfie powrócą. Wieść o darze proroczym Krystyny, rozeszła się wnet po całéj Wielkiéjpolsce. Komeniusz rozsiewał ją piórem i usty, przyznając Poniatowskiéj przymioty nadludzkie. Rozsądniejsi byli polscy duchowni braci czeskich; oni, co w każdem niemal z pism swoich szydzili z cudów na Jasnéj górze Częstochowskiéj doznawanych, nie mogli przyznawać daru przepowiadania przyszłych rzeczy ośmnastoletniéj, choréj na umyśle dziewicy. Poczytywali ją tedy za to, czem istotnie była, to jest, za istotę, mającą umysł obłąkany i na synodzie roku 1629 w Lesznie złożonym, zakazali Komeniuszowi pism w téj materyi wydawać. Ale Komeniusz postanowił utrzymać się na swojem, bądź to, że był istotnie fanatykiem, bądź też, że kuglarstwo to służyło jego widokom w polityczym i religijnym względzie. Cóżkolwiek bądź, umyślił rzecz tę poprzeć powagą sławnych w ówczas lekarzy w Polsce. Rafałowi Leszczyńskiemu, Wojewodzie bełskiemu, dziedzicowi Leszna, przedstawił Poniatowską jako proroczynią i poddał zdaniu rady lekarskiéj wyrzeczenie o stanie jéj zdrowia. Na radę tę zebrali się do Leszna następujący lekarze: Mateusz Fechner, nadworny lekarz Zygmunta III., rodem z Wschowy, uczeń sławnego Johnstona; Marek Eugieniusz Bonacina Włoch, *) nadworny lekarz

*) O lekarzu tym nie wspomina ani Arnold, w rozprawie swojéj o hojności królów i panów Polskich dla rzeczy lekarskiéj, ani też Ciampi w dziełku: Notizie sugl' Italiani in Polonia etc.



Krystyna Poniatowska.

Leszczyńskiego, Michał Libawiusz, który Krystynę najpierw miał w kuracyi; Johnston, i kilku innych; znajdował się także na téj radzie lekarskiéj Komeniusz. Odbyła się zaś dnia 24. Kwietnia 1629 roku. Uczeni lekarze, po krótkiem dochodzeniu stanu zdrowia Krystyny, wyrzekli, z wielkim smutkiem Komeniusza, że dziewica ta cierpiała chwilowe pomięszanie zmysłów. Od téj chwili wiara w jéj dar proroczy upadła w Wielkiéjpolsce pomiędzy wychodzcami czeskimi i morawskimi, ale Komeniusz nieprzestał bynajmniéj w pismach swoich głosić jéj proroctw reszcie Europy. Po kilku latach odzyskała Krystyna Poniatowska zupełnie zdrowie i połączyła się w roku 1632 związkami małżeństwa z Danielem Vetterem, wychodzcą czeskim, który był najpierw nauczycielem Fryderyka Henryka, najstarszego syna Ferdynanda II. króla czeskiego, a po opuszczeniu ojczystych siedlisk, zawiadował przez lat kilkadziesiąt drukarnią braci czeskich w Lesznie. Z tym żyła Krystyna szczęśliwie lat dwanaście, miesięcy dwa; umarła 1644 roku, zostawiwszy dwóch synów i tyleż córek. W ostatnich latach życia, odwoływała Krystyna mniemane objawienia swoje i wstydziła się ich. „Na rok przed jéj śmiercią, — mówi Komeniusz, w ogromnem dziele swojem, poświęconem opisowi żywotów i marzeń fałszywych proroków Kotera, Drabicyusza i naszéj Krystyny, noszącem tytuł Lux e Tenebris i t. d.“ — przybyłem z Prus do Leszna. Powiedziano mi, że Krystyna objawienia swoje odwołuje i gniewa się, gdy jéj kto o nich przypomina. Chcąc się przekonać o tém, wziąłem ją na stronę i badałem, czy wieść o tém odwoływaniu jest prawdziwą. Odpowiedziała mi, że ją dziwi, iż takowym baśniom zawierzam. Prawda jest, rzecze, iż zapytania niektórych w téj mierze zbyłam milczeniem, wiedząc, iż mi zapytania takowe z szyderstwa czynili.“ Tak mówi Komeniusz, który w Krystynie chciał mieć koniecznie proroczynią. Kobieta ta pochowaną została z największą okazałością w Lesznie, na cmentarzu braci czeskich. Wacław Locharyusz, minister tego wyznania, uczcił pamięć jéj mową pogrzebową, która drukiem ogłoszoną została. Nauczyciele szkoły Leszczeńskiéj, opłakiwali jéj śmierć w pięknych trenach, w łacińskim, polskim i czeskim języku, a sławny Komeniusz zebrał żywot jéj i marzenia na kilkuset kartach dzieła swego: Lux e tenebris, które się kilku wydań i tłómaczeń na rozmaite języki Europejskie doczekało. — Zofii z Pieskowéj Skały, Drużbackiéj, nie mamy dotychczas porządnéj, kilku-kartowéj przynajmniéj biografii! bo prawdziwa zasługa, mniéj znajduje wielbicieli, jak bezczelna szarlatanerya.

J. Ł.

Różowa wstęga.

(Wolne tłómaczenie z Klopstoka.)

Spotkałem lubą w pięknym ranku wiosny,
W chłodzącym cieniu, snem miłym ujętą,
W jéj ustach uśmiech spoczywał radosny.

Pierś jéj okryłem różowémi wstęgi
I powtórzyłem mą przysięgę świętą,
Lecz nie słyszała méj czułéj przysięgi.

Pojrzałem na nią: to jedno spojrzenie
Jéj tchnienia z mémi na wieki złączyło;
I wpadłem w słodsze jeszcze omamienie.

W tém na różowe wstęgi wietrzyk wionął,
A ich szemranie ze snu ją zbudziło.
Chciałem przemówić ... głos w piersiach utonął.

Pojrzała na mnie: to słodkie spojrzenie
Me życie wiecznie z jéj życiem złączyło
I w raj nas wzniosło lube zachwycenie.

A. G.

Łąka.

(Bajka.)

Śmiała się łąka z grobli, iż ją rwały wody:
Aż te gdy ją przerwały,
Całą łąkę zalały.
Warta tego, bo z cudzéj cieszyła się szkody.

X. T. C.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański).